

## Pogrom kielecki – decydujący był antysemityzm

**ZNAK**  
M I E S I Ę C Z N I K

„Znak”, czerwiec 2016, nr 733

Historia o prowokacji kieleckiej ma swój dość oczywisty ekwiwalent – jest nim Jedwabne. Mimo że śledztwo IPN wykazało co innego, wielu wciąż woli myśleć, że tam nie było Polaków albo też byli, ale to Niemcy kazali im zabijać. Tu, w Kielcach, wprawdzie obecności Polaków nie można zaprzeczyć, ale chcemy wierzyć, że za sznurki pociągali Rosjanie.

### **Marta Duch-Dyngosz: Kim byli Żydzi wracający do Kielc po wojnie?**

**Joanna Tokarska-Bakir:** To byli rozbitkowie wydobywający się de profundis, z nor, strychów i obozów. Obdarcy i wycieńczeni. Mam przed sobą protokoły oględzin zwłok ofiar pogromu kieleckiego. „Zwłoki płci męskiej, odżywienia miernego, długość 155 cm, z wyglądu około 25 lat”. „Zwłoki płci żeńskiej, odżywienia miernego, długości 153 cm, z wyglądu około 15–16 lat”. To są typowe opisy. A zaraz obok: „Na lewym przedramieniu tatuaż: B-1119”, „A-16416”, „A-61910”. „A” jak Auschwitz, „B” jak Bergen-Belsen, taki jest ten alfabet. Inną kategorię stanowili repatrianci z Rosji, z Syberii, czasem aż z Republiki Komi. Kolejną – żołnierze, którzy przyszli z „wojskiem Żymierskiego”, jak je wówczas określano. Wśród zamordowanych w Kielcach jest ich co najmniej trzech. Dwaj z nich, ppor. Abraham Wajnryb i sierż. Szmul Karp, byli żołnierzami dywizji kościuszkowskiej, uczestnikami bitew pod Lenino, Warszawą i Kołobrzegiem. Obaj zamieszkiwali na ul. Planty 7, gdzie miał miejsce pogrom. Trzeci, też bardzo zasłużony, por. Icchak Prajs, parę dni wcześniej przyjechał do Kielc. Był synem właścicieli Hotelu Polskiego. Nie zabito go na Plantach 7, ale na ul. Sienkiewicza, niedaleko dworca. Był w mundurze obwieszonym orderami, więc ludzie wiedzieli, że to frontowiec. Świadkowie widzieli tę scenę z okien.

Trudno nam sobie wyobrazić, co czuli powracający Żydzi. Często też, wychowani w duchu polityki historycznej, wcale nie jesteśmy tego ciekawi. Sądzimy, że wystarczy wiedzieć o „Żydach w UB”, które zabijało „naszych bohaterów”. Idealizujemy tych ostatnich, a dewaluujemy pierwszych. Nasza wiedza jest sformatowana przez rewolucję antykomunistyczną 1989 r., od której rozpoczęła się nasza epoka. Można zrozumieć, dlaczego antykomunizm wciąż milcząco definiuje nasz horyzont poznawczy, ale trzeba też uświadomić sobie, że jako format myślowy jest on szkodliwy i poznawczo, i moralnie. Bo kategorie „czarnej księgi komunizmu” przeszkadzają zrozumieć pierwszą powojenną dekadę, którą postrzegamy jako budującą historię o „żołnierzach wyklętych”, podczas gdy była ona dramatem społecznym. Tym bardziej nie potrafimy sobie wyobrazić ludzi, dla których komuniści byli nie tylko wyzwolicielami, ale wręcz zbawicielami. W jednej ze swoich książek Henryk Grynberg opisuje scenę, gdy wychodzą z matką z ziemianki, w której się ukrywali, i na zielonej trawie widzą żołnierza radzieckiego z czerwoną gwiazdą na czapce. Ten niesamowity, nieomal soteriologiczny symbol – zieleń trawy w połączeniu z czerwoną gwiazdą – dla wielu Polaków jest wręcz obraźliwy. A to po prostu obraz doświadczenia człowieka, który przeżył wojnę w innych warunkach niż Polacy nieżydowscy. O ile w ogóle ją przeżył.

### **Żołnierz radziecki nie tylko przez Żydów był postrzegany jako wyzwoliciel.**

Oczywiście. W wielu miastach, choćby w Łodzi, żołnierze radzieccy byli entuzjastycznie witani. Owszem, towarzyszył im strach, że gwałcą i kradną, ale była też ulga, że wypędzili Niemców, że przynoszą jakąś zmianę, szansę. Ludzie chcieli w to wierzyć. W książce Portret społeczny pogromu kieleckiego, nad którą pracuję, przypominam tamte nadzieje. Wkrótce zostały one zawiedzione, ale to nie znaczy, że ich nie było. Powojnie było udręką. Życie na wsi było udręką. Szalały bandy – nie mówię o oddziałach zorganizowanych, które przynajmniej dbały o pozory walki – mówię o prawdziwych

bandach, takich jak ta, która na wiosnę 1946 r. zgwałciła i zastrzeliła panią Wasilewską z Trzciannego, Sprawiedliwą, a następnie przez lata prześladowała jej rodzinę. Przed tymi ludźmi broniono się, wchodząc w sieć nowej władzy.

Nasza czarno-biała wiedza nie potrafi zasymilować wizji opisywanej przez powojenne źródła, według których historia – czujemy to niemal fizycznie – mogła potoczyć się jeszcze inaczej.

Proszę posłuchać takiego fragmentu: „Znaczenie polityczne PPR na tym terenie określił najlepiej instruktor PPR Starewicz, mówiąc 28 grudnia [1945 r.] na zebraniu egzekutywy: »musimy sobie jasno zdać sprawę z tego, że wybory już przegraliśmy. Pokutować musimy za nasze błędy początkowej polityki PPR oraz za mylne nasze stanowisko do AK. W związku z tym należy się przygotować do przejścia w konspirację. Rola nasza, nasza aktywność i znaczenie musi osłabnąć». Jest to obraz Polskiej Partii Robotniczej w meldunku zrzeszenia Wolność i Niezawisłość, nie ma powodu kwestionować jego prawdomówności. PPR, która schodzi do konspiracji! Komuniści byli słabi, przegrywali. W to jest nam najtrudniej uwierzyć.

### **Z czego wynikała słabość tej władzy?**

Z braku faktycznego poparcia dla ideologii, przy jednoczesnym masowym wchodzeniu Polaków w struktury władzy komunistycznej. Na poziomie mikrohistorycznym widać to przy analizie obsady posterunków Milicji Obywatelskiej w regionie kieleckim. W nienaruszonym stanie zachowały się książki zwolnień, z których wynika, że właściwie całe kieleckie zapisało się do milicji. Z tych list wyłowiliam najpierw znane mi z badań prowadzonych do Okrzyków pogromowych nazwiska partyzantów, którzy zabijali Żydów w czasie wojny. Ale oprócz nich są tam praktycznie całe wioski! Niech nikt nie wierzy, że wszystkich tych ludzi wysłano do MO na przesłuchania lub że w Urzędzie Bezpieczeństwa pracowali jako gońcy i kucharki. Chodziło o przetrwanie i kontrolę, o sorty mundurowe, opał i stołówkę, często też dla rodziny. Ludzie, którzy obsadzali posterunki w Kielcach, Jędrzejowie, Sandomierzu, Rytwianach, Busku – nie zawsze robili to jako komuniści. Nie zapisywali się do PPR. Z reguły – zastępczo – wstępowali do Polskiej Partii Socjalistycznej albo też – „będąc poglądów ludowych” – pozostawali bezpartyjni. Chodziło o to, żeby mieć kontrolę nad tym, co się dzieje w okolicy, bronić krewnych, „mieć dostęp”, „coś urwać”, „zrobić interes”. Ta władza dopiero później sformatowała się jako komunistyczna. Lata 1945–1946 to jeszcze okres mgławicy – nie było wiadomo, co z niej wyniknie. Nie wiedziała tego również sama władza, tolerująca w swoich szeregach ludzi, którzy chwilę wcześniej ujawnili się jako akowcy, nawet wysokiego szczebla. Dopiero 1 sierpnia 1946 r., a więc trzy, cztery tygodnie po pogromie kieleckim, wydano rozkaz nr 182 o skrupulatnej weryfikacji MO.

### **Jak to się ma do pogromu kieleckiego?**

Historia pogromu rozpoczyna się od obsady kieleckiej milicji przez ludzi, w których wyobrażeniu doskonale mieściło się porywanie przez Żydów dzieci „na macę” czy też, w zmodernizowanym wątku legendy o krwi, „na transfuzję”. Zauważmy: nie byli to wcale tzw. ludzie prości. Urzędnik, który uruchomił maszynę pogromową, Stefan Sędek, pochodzący z rodziny endeckiej, skończył przed wojną kurs prawa na Uniwersytecie Warszawskim i zdobył doświadczenie w Żandarmerii Wojskowej II Rzeczypospolitej. Jesienią 1945 r. został zastępcą kierownika Brygady Śledczej kieleckiego komisariatu, w którym ojciec Henia Błaszczyka złożył najpierw meldunek o zaginięciu, a następnie o odnalezieniu się syna, rzekomo porwanego przez Żydów. Nie wiadomo, na ile można wierzyć zeznaniom bp. Czesława Kaczmarka, który w okresie swego procesu w latach 50. obciążał Sędką, że przed wojną był członkiem „bojówek, prowadzących kampanię antyżydowską”. Niezaprzeczalnym faktem jest jednak, że to właśnie decyzja Sędką o wysłaniu patrolu na Pląty w celu dokonania rewizji w domu Komitetu Żydowskiego uruchomiła lawinę zdarzeń, znaną jako pogrom kielecki.

Sędek nie był jedyną postacią, w której obecność w kieleckiej MO w roku 1945 trudno nam dziś uwierzyć. Na jej czele stoi Wiktor Kuźnicki, o którym wiadomo, że „woli akowców niż pepeerowców”,

i wcale się tego nie wstydzi. Od początku rywalizował on z ponurym szefem UB Władysławem Sobczyńskim o to, który z nich jest lepszym komunistą i patriotą. Za Sobczyńskim stała przeszłość w NKWD, za Kuźnickim wojna domowa w Hiszpanii. Obaj walczyli o „Polskę bez Żydów”, ale tylko ten drugi głosił to publicznie. W swoim gabinecie Sobczyński z rozmysłem pozwalał sobie na stwierdzenie, że w „UB siedzą sami Żydzi”, a na konferencji szefów MO ogłosił, że „jeśli ma być Polska bolszewicko-żydowska, to niech będzie lepiej NSZ-owska”. Prawie natychmiast, zresztą nie tylko za sprawą Sobczyńskiego, opinie te trafiają do centrali w Warszawie. Która jednak wcale nie reaguje, Kuźnicki nie dostaje nawet nagany. Wprawdzie kadry Komendy Głównej nie zgodzą się na oficjalne mianowanie proponowanych przez niego ludzi, wprawdzie jednego z nich przezwał nawet „starym żandarmem, dwójkarzem i faszystą”, ale na tym koniec. Brak mianowania w niczym nie przeszkodzi Kuźnickiemu zatrudnić swoich kandydatów w Komendzie Wojewódzkiej. I tak w ścisłym dowództwie kieleckiej milicji pojawia się ppor. dr Tadeusz Majewski, „który przez 3 miesiące przebywał w więzieniu PUBP w Częstochowie, jako podejrzany o NSZ, zwolniony z braku dowodów”, oraz wspomniany „dwójkarz i żandarm” Stefan Dobroczyński, teraz Szef Wydziału Śledczego KW MO. Dobroczyński, który tuż przed zatrudnieniem ujawnił się jako major AK, faktycznie był przed wojną zawodowym oficerem policji. Jeśli dodamy do tego, że stanowisko kwatermistrzowskie w Komendzie Wojewódzkiej Kielc obejmuje kpt. Antoni Jarosz, który utracił rękę, „jak robił zasadzkę na rodzinę narodowości żydowskiej” (o czym pisałam w Okrzykach pogromowych, cytując wstrząsającą relację Zelmiana Bauma), obraz stanie się w miarę kompletny.

**Wygląda na to, że władzę tworzyli reprezentanci polskiego społeczeństwa. Tymczasem naszą świadomością wciąż rządzi stereotyp „żydokomuny”.**

To byli mieszkańcy Kielecczyny, wśród których byli też Żydzi – polscy obywatele, którym władza komunistyczna pozwoliła wierzyć w równouprawnienie, znosząc bariery w zatrudnieniu, otwierając dla nich urzędy państwowe. Oczywiście oni też wchodzili w obręb tej władzy, ale iluż ich było w porównaniu z Polakami nieżydowskimi, którzy zasilili kieleckie MO i UB? Właśnie przed tą oczywistością bronimy się za pomocą kategorii „nadreprezentacji Żydów” we władzach. Posługiwanie się nią podwójnie nas kompromituje. Albowiem po pierwsze, oznacza, że milcząco aprobujemy logikę numerus clausus (lub nullus), a więc kwot dla poszczególnych grup etnicznych, kwot, które mimo protestów części społeczeństwa rozpowszechniły się w kraju w okresie międzywojennym. Po drugie, zakładamy narodową, a nie obywatelską koncepcję wspólnoty polskiej. Obie te rzeczy są nie do zaakceptowania w społeczeństwie demokratycznym, i to właśnie chciały zmienić władze Polski lubelskiej. Na to też czekali Żydzi. Pierwszym szefem Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego został żydowski Polak Adam Kornecki, ale pochodzenie wytknięto mu już w październiku 1945 r. i aby nie drażnić – „schowano go”, zastępując antysemitą Sobczyńskim, za którego rządów zdarzył się pogrom. Wyliczenie proporcji we władzach kieleckich zasłania istotę rzeczy: masowy akces Polaków do komunizmu i zawiść, jaką wzbudzali Żydzi, którzy zajęli stanowiska.

**Czy wśród mieszkańców Plant 7, ofiar pogromu, byli pracownicy UB?**

Według wszelkiego prawdopodobieństwa – mówię to na podstawie znanych mi relacji ocalałych i źródeł zastanych – nie było tam ani jednej takiej osoby. Zresztą безпеaka miała własne mieszkania przy ul. Focha, dziś Paderewskiego.

Owszem, na Plantach mieszkał wspomniany już sierż. Szmul Karp, który był komunistą z Bytomia. Komuniści Żydzi nie bardzo lubili się z syjonistami, którzy w odróżnieniu od nich chcieli jak najszybciej wyjechać do Palestyny. Karp zapewne należał do kieleckiego PPR-u. Wspomina go Jechiel Alpert, przewodniczący syjonistycznego Ichudu na Plantach 7, który złożył dla Yad Vashem szczegółową relację dotyczącą przebiegu pogromu, spisaną przez Idę Fink: „Kilka miesięcy przedtem [przed pogromem] odbyła się akademie żałobna w rocznicę powstania w getcie warszawskim. Została ona zorganizowana pod naciskiem wojewódzkiego komitetu PPR, względnie pracowników tego komitetu, Żydów – jednym z nich był Karp, który potem zginął. Akademia odbyła się w budynku przy Plantach

7, prezydium – pamiętam – było liczniejsze od publiczności. Byli przedstawiciele partii i władz i przedstawiciele fabryk. Każdy z nich przemawiał, to znaczy przeważnie przemawiali Polacy, z Żydów przemawiałem tylko ja. Ten przedstawiciel Huty Ludwików, kiedy przemawiał, twierdził, że Żydzi powinni teraz zostać w kraju i pomóc w odbudowie zniszczonej Polski, nie powinni patrzeć z daleka, bo to jest ich kraj, ich ojczyzna. I ci sami robotnicy później brali udział w pogromie”.

Na Plantach mieszkała też Helena Kiraga, nosząca takie samo nazwisko jak naczelnik IV Wydziału WUBP w Kielcach. Ale gdybyśmy na podstawie podobieństwa nazwisk mieli wnioskować o zatrudnieniu, to enkawudzista Sobczyński miałby coś wspólnego z ks. Sobczyńskim, zaufanym kapłanem bp. Kaczmarka. A nie ma.

**Można sobie wyobrazić, że Żydzi, którzy przeżyli Zagładę, powinni być traktowani w specjalny sposób, jako wymagający szczególnej opieki. Panowała natomiast zupełnie inna atmosfera. Część polskiego społeczeństwa nie była zadowolona, że się uratowali.**

Atmosferę społeczną, jaką zastawali Żydzi, którzy przeżyli wojnę, można by w najlepszym razie opisać jako obojętność lub lęk, że trzeba będzie zwrócić „pożydowskie”. W gorszym – jako otwartą wrogość. Ewa Szuchman, sekretarka zabitego Seweryna Kahane, przewodniczącego Wojewódzkiej Żydowskiej Komisji Historycznej, wspominała: „Gdy szliśmy coś kupić na bazar, wtedy mówiono: »Co to, żyjesz? Co to, zostałaś?«. W takiej formie. Nikt nie był szczęśliwy, że tam mieszkaliśmy”.

Na prowincji było jeszcze gorzej. W książce *Mój obcy kraj?* Michał Rudawski wspomina żołnierza Borucha Mehla, który w II połowie 1944 r. widział, jak szkolni koledzy zabijają jego rodzinę, a po przejściu frontu zostają szefami okolicznych posterunków MO. Píše też o zaoranym przez sąsiadów kirkucie w Przytocznie. „Po tym jak Żydów stąd, z Łusobyk i okolicy, Niemcy wywieźli, nie było już kogo tam chować. Szkoda przecież, żeby ziemia się marnowała” – tłumaczono mu później.

Przyczyny tego stanu rzeczy można by sklasyfikować, kojarząc je emblematycznie z dwiema książkami. Pierwszą jest *Strach* Jana Tomasz Grossa, drugą *Wielka trwoga* Marcina Zaremby. Pierwsza mówi o strachu żydowskim, druga o polskim.

### **Czego się bali Żydzi?**

Bali się legendy o krwi, a właściwie śmiercionośnego polskiego strachu przed nią. To mit oparty na tradycji, którą w Europie znamy od roku 1144 (w angielskim Norwich znaleziono wtedy ciało młodzieńca, o zabójstwo którego dobre parę lat później oskarżono Żydów). Wśród relacji uratowanych z pogromu znalazłam opis, w którym pewien Żyd, jeszcze w pasiaku, odwiedza w Kielcach Polaka, u którego na początku wojny zostawił część swoich rzeczy. I ten człowiek się nim bardzo serdecznie zajmuje, przygotowuje dla niego kąpiel, gości go przez tydzień, jest jego bratem. Ale nie przychodzi z ofertą pomocy w chwili pogromu. Tłumaczy, że akurat tego dnia zaginęła jego córka Wandeczka i „był w strachu, że Żydzi ją zabili”. Inny Żyd, który odzyskał fabrykę kaflí, zostaje z kolei ocalony z pogromu dzięki temu, że robotnik z tej fabryki ukrył go na strychu. Ale córka tego robotnika, osoba z wyższym wykształceniem, nie daje sobie wytłumaczyć, że Żydzi nie porywają dzieci, jak również tego, że na Plantach nie ma piwnic (podmokły teren całkowicie to uniemożliwia). „Pan nie zabija, ale skąd pan wie, co robią inni?” – pyta.

### **A czego bali się Polacy?**

W książce *Wielka trwoga* Marcin Zaremba twierdzi, że bali się o swoje dzieci. To fakt niezaprzeczalny, ale jednocześnie tylko pół prawdy. Bo czy w coś tak absurdalnego jak historia o porywaniu i „transfuzjach” można by uwierzyć, gdyby Żydzi wcześniej nie zostali zdemonizowani?

## **Kto ich zdemonizował?**

Jeśli zostanę oskarżona o to, że zjadam dzieci na surowo, ludzie wzruszą ramionami. Jeśli jednak ktoś popracuje nad moim wizerunkiem, odwołując się do ugruntowanych autorytetów, od stuleci wspierających oskarżenie, szansa, że zostanę uznana za dewianta (w etymologicznym sensie tego słowa: różnić się, odbiegać, odchodzić od tego, co zwyczajne), znacznie wzrośnie.

Pojęcie dewianta, którym się tu posługuję, wiąże się z przyjętą przeze mnie definicją pogromu. Pochodzi ono z prac Roberty Senechal de la Roche, badaczki amerykańskiej, która nawiązuje do koncepcji przemocy jako kontroli społecznej Donalda Blacka. Zgodnie z teorią Senechal de la Roche pogrom jest to właśnie akt kontroli społecznej, skierowany przeciwko tym, których dominująca większość uznaje za dewiantów, oskarżając o coś, co domaga się kary, „nauczenia rozumu”, „pokazania im, gdzie jest ich miejsce”. Podkreśla się w tej teorii że pogromszczycy pojmują swoje działanie jako samopomoc (self-help), której społeczeństwo samo sobie udziela, wyręczając opieszalą władzę. Pogromowy tłum postrzega ową władzę jako niepotrafiącą lub z jakichś powodów niepragnącą skontrolować dewianta. Ironia losu polega więc na tym, że władza, która pojawiła się na Plantach w postaci tych niezbyt rozgarniętych, w dużej części pijanych milicjantów i żołnierzy, uzyskała od ludu kieleckiego coś w rodzaju wsparcia. Była postrzegana jako zbyt słaba, by przeciwstawić się „Żydom”, „żydokomunie”, toteż tłum ją wyręczył. W protokołach przesłuchań można znaleźć dowody na coś w rodzaju „podziału pracy” pomiędzy MO i wojskiem z jednej strony a tłumem – z drugiej.

## **Dlaczego Żydów uznano za dewiantów? W jaki sposób naruszyli porządek społeczny?**

Widzę dwa powody. Pierwszym była plotka: „To są ci, którzy pożerają nasze dzieci”, czyli modernizacja klasycznego wątku o krwi, w którym „maca” została zastąpiona conceptem, że Żydzi osłabieni Zagładą potrzebują młodej krwi „do transfuzji”. Dewiantem jest więc tu ten, który atakuje dzieci.

Ale jest też drugi powód, częsty przy uznawaniu kogoś za dewianta. Występuje np. w linczach Czarnych w USA. Porównując pogrom kielecki z amerykańskim pogromem w Springfield w 1908 r., dostrzegłam podobne mechanizmy. Chodzi o sytuację, w której grupa znajdująca się dotąd w pozycji parweniusza, wykorzystując równouprawnienie, narusza nagle stratyfikację społeczną. Czarni w Springfield dorabiali się na handlu nieruchomościami i przynosili do lepszych dzielnic. W Polsce Żydzi kluli w oczy na eksponowanych stanowiskach. To, co w ich oczach było aktem dziejowej sprawiedliwości, w świadomości nieżydowskich Polaków (podobnie zresztą jak amerykańskich biedaków) pozostawało aktem niesprawiedliwości. Przyzwyczajeni do dyskryminacji, nie czuli się już obywatelami we własnym kraju, tylko w kraju „rządzonym przez Żydów”. W Springfield pogrom wybuchł, ponieważ wyemancypowana ekonomicznie grupa Czarnych zaczęła „bruździć”. Po pierwsze, handlowała głosami wyborczymi, co samo w sobie nie jest może cnotliwe, ale Biali robili to także, choć na mniejszą skalę. Po drugie, Czarni zaczęli wkraczać w centralną przestrzeń miasta. Gdy któryś z nich otworzył zakład fryzjerski przy głównej ulicy, potrzebna była już tylko iskra w postaci oskarżenia, że chciał zgwałcić białą kobietę. Człowiek jest stworzeniem terytorialnym, niestety, także w bardzo nieprzyjemnym sensie. Jeśli nad złagodzeniem jego agresji nie pracują wszystkie społeczne autorytety, zaburzenie terytorialności często wywołuje pogromy.

## **Jaki wpływ na to wszystko miała wojna?**

Wielki. Niestety, nie można wykluczyć, że skóra cierpiącego robi się grubsza, a jego wrażliwość na innych spada. Ale jeszcze jeden element trzeba tu wskazać: antysemityzm przedwojenny. W 1939 r., gdy weszli Niemcy, nie mógł wyparować, on jeszcze się nasilił. Stało się tak, ponieważ człowiek, sam bezradny wobec tego, co nakłada na niego władza, zaczyna racjonalizować, dlaczego komuś, kto znajduje się na gorszej pozycji niż on, dzieje się jeszcze większa krzywda. To jest reakcja obronna. Przecież to, że zabijają niewinnych, nie może się dziać bez powodu – więc szuka tych powodów. I znajduje. Przypomina się scena z filmu Shoah. Nie wiem, czy Pani pamięta – Szymon Srebrnik wraca do

miasteczka niedaleko miejsca, gdzie był obóz, z którego ocalał. Jest Niedziela Palmowa. Ludzie wychodzą z kościoła, otaczają go i w jego obecności rozgrywa się rozmowa o tym, dlaczego Żydom się to stało. Ktoś przywołuje opowieść o rabinie, który miał tłumaczyć, iż to dlatego że Żydzi skazali na śmierć niewinnego Chrystusa.

### **„Krew Jego na nas i na dzieci nasze”.**

Pamiętam twarz Szymona Srebrnika, który tego słucha. To jest symboliczny skrót czarnej antyjudajskiej pedagogiki, która doprowadziła do odmowy empatii wobec Żydów. I sprawiła, że jeśli ktoś nie był bohaterem – przyjmując, że heros to człowiek o wyjątkowej klasie moralnej – to musiał na tego powracającego brata patrzeć jak na potępionego.

### **Musiałby przeciwstawić się kulturze, w której wyrósł...**

... i w której nadal funkcjonował.

**W przebiegu pogromu odbijają się wzory zachowań z czasów okupacji. Jedna z pań, która wynajmowała pokój rodzeństwu Kiersz lub Stajman, wracając do mieszkania i widząc zbiegowisko ludzi, słyszy: „Zabić ją, bo ona przechowuje Żydówkę!”.**

W roku 1946 ci ludzie żyją jeszcze w mentalnej przestrzeni wojny, otoczeni ruinami, grobami, które są świeże, wszędzie przebiegają ekshumacje. To bezwładność fantazji, nie mówiąc o bezwładności wzorów społecznych, decyduje, że te okrzyki się pojawiają: obecność przedwojennego antysemityzmu, któremu wprawdzie też chodziło o to, żeby Żydzi zniknęli, ale nie był antysemityzmem eliminacyjnym, który przynieśli Niemcy. Z kolei władza komunistyczna przyniosła nowe, pożądane wzorce, ale nie wdrażała ich w sposób, który budził zaufanie. Sama zresztą przyniosła ze sobą sporo antysemityzmu, czego świadectwa mamy w postaci raportów o stosunkach panujących w WUBP.

Mam w pamięci relację z roku 2005. Pewna pani z Sandomierszczyzny wypowiedziała takie zdanie o przechowywaniu Żyda czy Żydówki: „To było w czterdziestym szóstym roku, trzymaliśmy tę osobę. Nie było jeszcze wtedy wiadomo, czy będą karać, czy będą nagradzać za przechowywanie Żyda”.

Jest koniec wojny, niepewność, czy ta władza się utrzyma. Czego jej przedstawiciele właściwie chcą? Wysyłają sprzeczne komunikaty: z jednej strony w ich internacjonalistycznych gazetach jest mowa o Żydach, którzy dostają posady urzędowe, ale z drugiej strony widać, że milicja specjalnie ich nie broni, że można Żyda zabić bezkarnie.

### **Proszę powiedzieć więcej na temat źródeł o pogromie kieleckim, z których Pani korzysta.**

Mój pomysł na tę książkę był taki, by zwrócić reflektor w zupełnie inną stronę niż do tej pory – przestać weryfikować hipotezę o prowokacji UB, zacząć opisywać ludzi po obu stronach drzwi do szturmowanego budynku przy ul. Planty 7. Dysponujemy ogromnym materiałem z dwóch śledztw popogromowych. Pierwsze z lat 1946–1947 było niezwykle rozbudowane, choć większość procesów utajniono. Zachowała się tylko część świadectw (albo nie zostały dotąd odnalezione), innych można się tylko domyślać ze wzmianek. Ale wbrew dawniejszym opiniom było to ogromne, bardzo szczegółowe śledztwo. Problem polegał na tym, że ogłoszenie jego wyników skompromitowałoby ze szczerem i tak już wystarczająco skompromitowaną władzę.

Jest też śledztwo z lat 90., równie pieczołowite, szczególnie na etapie nadzorowanym przez prokuratora Zbigniewa Mieleckiego. Wykluczyło ono wszystkie cztery hipotezy na temat przyczyn pogromu: hipotezę o prowokacji podziemia, UB-NKWD i syjonistów, hipotezę antysemityzmu (z czym się nie zgadzam), a także hipotezę majątkowego tła nienawiści.

Tym dochodzeniom zawdzięczam większość mojego materiału. Resztę odnalazłam sama, dzięki nieocenionej pomocy pracowników oddziałów IPN przy pl. Krasińskich w Warszawie i w Kielcach, które ofiarnie wyszukiwały materiały (te zresztą wciąż napływają). Pewna część źródeł pochodzi też z tzw. zbioru zastrzeżonego, będącego w dyspozycji Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Są w nim dokumenty dopiero teraz odtajniane.

### **Jednym z najczęściej spotykanych wyjaśnień pogromu kieleckiego jest teza o radzieckiej prowokacji. Jak się Pani do niej ustosunkowuje?**

Chyba mam zły charakter, bo z satysfakcją czytam m.in. w materiałach drugiego śledztwa z lat 90., jak historycy i politycy głoszący tezę o prowokacji, spytani w obecności prokuratora, czy mają na nią jakieś dowody, nagle łagodnieją, mówiąc: „Nie, nie prowadziłem żadnych badań własnych” [śmiech].

Najwcześniej, bo jeszcze w lipcu 1946 r., teza o prowokacji pojawia się w ulotkach podziemia, takich jak Bandyta Radkiewicz – przygotował prowokację kielecką. Teza ta została następnie podchwyczona m.in. w jesiennej interpelacji parlamentarnej Polskiego Stronnictwa Ludowego. Potem, w okresie zamrażarki komunistycznej, nie wolno było tego oficjalnie publikować, wysyp tych teorii nastąpił w latach 80. Również uznani historycy przyczynili się do ich uprawdopodobnienia. Muszę przyznać, że początkowo sama też byłam pod ich wpływem.

Promotorem tych hipotez w okresie drugiego śledztwa kieleckiego był Michał Chęciński, emigrant po 1968 r., były oficer Informacji Wojskowej, który po wyjeździe z Polski zgromadził archiwum rozmów z wysokimi funkcjonariuszami władz bądź pracownikami UB. W kontekście pogromu Chęciński przeprowadził wywiad z Edką Ajzenman oraz Adamem Korneckim – pierwszym szefem WUBP w Kielcach. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności rodzina Michała Chęcińskiego poprosiła mnie, żebym zajęła się jego archiwum po jego śmierci w roku 2011. Miałam zatem najlepsze możliwości, żeby zobaczyć, jakimi materiałami wspierał on hipotezę o radzieckiej prowokacji.

### **I jakie są wnioski? Kim była Edka Ajzenman? Jaki miał być jej udział w pogromie kieleckim?**

Wnioski są jednoznaczne: materiały są bardzo ciekawe, ale nie zawierają żadnych dowodów na istnienie prowokacji UB, NKWD czy jakiegokolwiek innej strony. W książce publikuję zarówno wywiad z Ajzenman, jak i z Adamem Korneckim – można będzie samemu ocenić siłę tych dowodów.

Edka Ajzenman mówi o sobie, że była sekretarką w Wydziale ds. Funkcjonariuszy WUBP w Kielcach, u kpt. Mieczysława (Morrisa) Kwaśniewskiego, ale nawet tego nie udało się jednoznacznie potwierdzić. Większość osób, które przeżyły pogrom i zostały przesłuchane w Izraelu w latach 90., w ogóle nie wie, kim jest pani Ajzenman. Nie rozpoznają jej też oficerowie wówczas przesłuchiwani. Ajzenman mówi: „Pamiętam ten dzień, początki pogromu widziałam, byłam świadkiem organizowania tego pogromu”, ale nie podaje żadnych konkretów. Podobne spekulacje pojawiały się u wielu ocalałych z Kielc jako rodzaj psychicznego odreagowania. Człowiek myśli sobie po latach: jak to w ogóle było możliwe? Tak pod nosem MO i UB? 300 m od siedziby radzieckiego komendanta miasta? Tak rodzi się hipoteza o prowokacji. To jest wszystko skutek snów o potędze UB w roku 1946. Potęga zbudowana była na obecności Rosjan, którzy akurat Żydów niespecjalnie chcieli bronić. Tłumaczyli, że nie mają polskich mundurów, a jeśli pójdą we własnych, będzie źle.

I jeszcze coś przy okazji. Ta historia o prowokacji kieleckiej ma swój dość oczywisty ekwiwalent – jest nim Jedwabne. Mimo że śledztwo IPN wykazało co innego, wielu wciąż woli myśleć, że tam nie było Polaków albo też byli, ale to Niemcy kazali im zabijać. Tu, w Kielcach, wprawdzie obecności Polaków nie można zaprzeczyć, ale chcemy wierzyć, że za sznurki pociągali Rosjanie. Tak jest łatwiej. W psychologiczno-społecznym sensie funkcja tych hipotez jest podobna. To za trudne do przyjęcia – informacja o naszej wspólnotce, że jest do tego zdolna.

## **Czy Pani poszukiwania rzucają nowe światło na stosunek duchowieństwa do tego, co się działo w czasie pogromu?**

Moim zdaniem wszystko jest wiadome od dawna. Wśród materiałów, które publikuję, znajdują się trzy relacje zamówione po pogromie przez kurię kielecką. Zostały odkryte przez UB na strychu katedry w czasie rewizji zarządzanej po aresztowaniu bp. Czesława Kaczmarka w styczniu 1952 r. Przejrzałam kilkadziesiąt tomów akt z jego procesu, wśród nich uwierzytelnione przez ks. Romana Zelka protokoły efektów tej rewizji – brak podstaw, by uznać je za sfalszowane. Sprawozdania ze zdarzeń na Plantach przygotowali księża profesorowie z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, m.in. prof. Żywczyński, oraz anonimowa kobieta, która znajdowała się bezpośrednio pod domem, a nawet do niego weszła.

Wnioski są... właściwie każdy czytelnik sam powinien je wyciągnąć. Jednoznaczne są w tych tekstach stereotypy antysemickie – nie ma tam współczucia dla ofiar – dom na Plantach zostaje przedstawiony jako prawdopodobne miejsce kaźni dzieci.

Szokujący jest upór duchownych, zaprzeczających, że przyczynili się do tego „stanu wiary”, arogancja kard. Hlonda, wypominającego przy okazji pogromu Żydów, że „ginie nierównie więcej Polaków”. A także odmowa empatii w wykonaniu ks. Piotra Dudźca, autora listu odczytanego w kościołach kieleckich w niedzielę po pogromie, któremu żal nie Żydów, ale „nieletnich dzieci”, na oczach których byli oni zabijani.

Zasadnicza wina Kościoła polega jednak moim zdaniem na tym, że, wyjąwszy potępionego następnie przez Konferencję Episkopatu Polski biskupa częstochowskiego Teodora Kubinę, nie wydał on oświadczenia, w którym jednoznacznie stwierdzałby, że sam nie wierzy w legendy o krwi. Stwierdzenie można było wpleść choćby we wspomniany list ks. Dudźca. Nie zgadzam się z argumentacją niektórych historyków, że nie wchodząc w ten temat, Kościół uniknął uwikłania w politykę. Nie uniknął. Odmowa potępienia pogromu kieleckiego nie była zresztą odosobniona. Kościół zachował się analogicznie po pogromie krakowskim z sierpnia 1945 r. W zespole archiwalnym zrzeszenia Wolność i Niezawisłość w Archiwum Narodowym w Krakowie znajduje się notatka: „PPR zwróciła się do Ks. Arcybiskupa Jalbrzykowskiego z prośbą o potępienie ekscesów krakowskich, na co otrzymano odpowiedź, iż Kuria zna tę sprawę z jednostronnego oświetlenia i wobec tego nie może zająć żadnego stanowiska”.

-----  
Joanna Tokarska-Bakir – prof. zw. Instytutu Sławiastyki PAN, jest antropolożką kultury i religioznawczynią. Studiowała na Wydziale Polonistyki i Wydziale Historycznym UW. Kieruje pracownią Archiwum Etnograficzne, obejmującą etnograficzne badania południowo-wschodniej Polski w zakresie pamięci o Żydach i Holokauście. Zajmuje się antropologią historyczną, w tym problematyką blood libel, pogromów antyżydowskich i etnografią Zagłady. Autorka książek, m.in. Legendy o krwi. Antropologia przesądu (2008), której francuski przekład ukazał się w 2015 r.; Okrzyki pogromowe. Szkice z antropologii historycznej Polski lat 1939–1946 (2012). Stypendystka A.W. Mellona, A. von Humboldta, Davis Center for Historical Studies, Princeton University, Marie Curie Fellowship w Institute for Advanced Study w Princeton (2013–2015).

<http://www.miesiecznik.znak.com.pl/pogrom-kielecki-decydujacy-byl-antysemityzm>